

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 13

Katowice, dnia 25-go marca

1928

Niedziela piąta Postu.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Żydów, r. 9.

Bracia! Chrystus stawiający się najwyższym Kapłanem dóbr przyszłych, przez większy i doskonałszy przybytek nie ręką uczyniony, to jest, nie tego stworzenia, ani przez krew kozłów, albo cielców; ale przez własną krew wszedł raz do świątyni, znalazłszy wieczne odkupienie. Albowiem jeśli krew kozłów i wołów, i popiół jałowicy pokropiony, splugawione poświęca na oczyszczenie ciała; jako daleko więcej krew Chrystusowa; który przez Ducha świętego, samego siebie ofiarował niepokalanym Bogu, oczyści sumienie nasze od martwych uczynków, ku służeniu Bogu żyjącemu? I dla tego jest nowego Testamentu Pośrednikiem, żeby za przystąpieniem śmierci, na odkupienie występów tych, które były pod pierwszym Testamentem, obietnicę wzięli, którzy wezwani są wiecznego dziedzictwa; w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

EWANGELJA

u św. Jana w rozdziale VIII, w 46—59.

W on czas: Mówił Jezus do rzesz żydowskich: Któż z was może dowieść Mi grzechu? Gdy prawdę wam mówię, dlaczego Mi nie wierzycie? Kto z Boga jest, słów Bożych słucha; wy dlatego nie słuchacie, że z Boga nie jesteście.

Odpowiedzieli tedy Judejczycy i rzekli doń: Czyż nie mówimy słusznie, żeś Ty Samarytanin, i że masz czarta? Ja czarta nie mam — odrzekł Jezus — ale czczę Ojca mego, wy zaś znieważacie Mnie. Ja jednak nie szukam chwały własnej; jest ktoś, co jej szuka i sądzi. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeśli kto zachowywać będzie naukę moją, nie ujrzy śmierci na wieki. Judejczycy więc rzekli: Teraz przekonaliśmy się, że masz czarta. Abraham umarł i prorocy — a Ty mówisz: „Jeśli kto zachowywać będzie naukę moją, nie zazna śmierci na wieki!” Czyś ty większy od ojca naszego Abrahama, który umarł? Nawet prorocy pomarli! — Za kogoż się uważasz?

Jezus odpowiedział: Gdybym, Ja sam siebie chwalił, chwała moja byłaby niczem; Ten, co Mnie uwielbia, to Ojciec mój, o którym mówicie, że jest Bogiem Waszym, a nie poznaliście Go! Ja Go jednak znam, i gdybym powiedział, że Go nie znam, byłbym podobnym do was kłamcą. Ale Ja Go znam i słowa Jego przestrzegam. Ojciec wasz Abraham radował się, że miał oglądać dzień mój; — ujrzał, i ucieszył się.

Powiedzieli tedy do Niego Judejczycy: Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś? Jezus im odrzekł: Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: pierwej, nim Abraham stał się. Jam jest! Porwali tedy kamienie, by rzucić na Niego; Jezus jednak ukrwł się i wszedł z świątyni.

NAUKA.

Nigdy modlitwa, w należyty sposób czyniona, nie chybi skutku swego. Mamy w tym względzie taką pewność, że większej mieć nie możemy. Zapewnia nas bowiem o tem najdroższy nasz Zbawiciel nieomylnym Boskiem słowem swoim w wyraźny i bardzo dobitny sposób: „Powiadam wam, wszystko, o cokolwiek modląc się, prosicie, wierzcie, że otrzymacie, a stanie się wam”. To zapewnienie powtarza kilkakrotnie Bóg Zbawiciel równie stanowczo i dobitnie: „Ja do Ojca idę, a o cokolwiek będziecie prosić Ojca w imię moje, to uczynię”. „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię moje, da wam”. I aby nam okazać, jak gorąco pragnie, byśmy z wszelką ufnością modlitwy nasze do Boga zanosili, zachęca nas do tego najusilniej, mówiąc: „Proście, a będzie wam dano; szukajcie, a znajdziecie; kołajcie, a będzie wam otworzone. Albowiem wszelki, który prosi, bierze...”

Po takiej wyraźnej obietnicy Chrystusa Pana, czy mógłbyś jeszcze wątpić o skuteczności twojej modlitwy? „I któż się będzie obawiał, mówi Augustyn św., żeby nie był oszukany, gdy sam Bóg obietnicę czyni?” Mógłbyś sądzić, że Bóg jest podobnym do ludzi, którzy obiecują, a potem nie dotrzymują tego, co obiecali? „Nie jest Bóg jako człowiek, aby kłamał, ani jako syn człowieczy, żeby się odmieniał”. I jakżeby mógł Zbawiciel Pan tak często i tak usilnie zachęcać nas do ufnej modlitwy, gdyby nie miał szczerzej woli wysłuchania jej? „Nie zachęcałby nas do zanoszenia próśb, gdyby nam nie chciał dać, o co prosimy” — mówi Augustyn święty. Chrystus Pan zobowiązał się uroczyście tą obietnicą wysłuchiwać modły nasze, winien to jest samemu sobie: „obiecując, stał się swoim własnym dłużnikiem”.

Nie dziw się jednak, i nie narzekaj, jeśli nie zawsze dostępujesz tego właśnie, o co prosisz. Nieraz bowiem, a może najczęściej prosisz o to, co ci jest szkodliwym, co ci przeszkadza do zbawienia. Ty tego nie widzisz, ale Bóg wszystkowiedzący wie to najlepiej, i właśnie dlatego, że ma wzgląd na twoje modły i że pragnie twojego dobra, nie daje ci tego, o co go prosisz, ale daje ci coś innego, odpowiedniego twojemu szczęściu. Czyliż rozumny ojciec dałby dziecku brzytwę do rąk dlatego, że o nią prosi? Gdyby mu ją dał, nie okazałby wcale miłości dla dziecka, ale owszem największą dlań obojętność, i niezmiernąby mu szkodę wyrządził. Jeżeli zaś prosisz Boga o rzeczy godziwe i pożyteczne, osobliwie jeżeli prosisz o jakąkolwiek łaskę, odnoszącą się do uświęcenia duszy twojej i zbawienia twego, możesz być pewien skutku, jeśli jeszcze dopełnisz drugiego niezbędego warunku, t. j. jeśli się będziesz modlił w należyty sposób, a mianowicie:

Jeżeli w grzechu trwasz, i grzech miłujesz stawiasz sam z własnej winy zapórę miłosierdziu Bożemu, i nie masz prawa spodziewać się wysłuchania na mocy danego przez Chrystusa zapewnienia. I jakże mógłbyś się tego spodziewać jeżeli miłujesz to, czem się Bóg nie-skończenie brzydzi? — Grzech jest w oczach Boga no-

wem Syna jego krzyżowaniem. Jakże więc śmiesz prosić Boga o łaski, jeżeli sercem Igniesz do grzechu, który śmierć Synowi Bożemu zadał.

Jak długo człowiek zostaje w stanie grzechu, żadna modlitwa, równie jak żaden dobry uczynek nie przynosi mu najmniejszej przed Bogiem zasługi; taki człowiek jest umarłym na duszy, niezdolnym sam przez się do wyjednania sobie u Boga jakiej łaski; potrzeba więc najprzód, żeby grzech porzucił, i przez spowiedź a przynajmniej przez akt skruchy z Bogiem się pojednał. Nie wynika stąd, że grzesznik nie powinien się modlić. Owszem, bardziej on, aniżeli inni, modlitwy potrzebuje, a chociaż nie ma prawa rachować na miłosierdzie Boże, Bóg jednak nawet i wtedy lituje się nad nim, i ma jakiś wzgląd na jego modlitwę. Amen.

Rachunek w godzinie śmierci.

Na smutnych równinach Podlasia od wieków pełno rozsiadło się szlacheckich wiosek, to jest takich, gdzie to dziedzic małej jakiej części sam sobie pan i sługa; jeden dziedziczy kilka, drugi kilkanaście zagonów w polu, które sam z rodziną obrabiać musi, żyć z nich, oporządzać się i o starości pamiętać, gdy nogi nosić, a ręce robić nie zechcą. Na takich to częstkach są i zamożniejsi posiadacze; jedni już po rodzicach otrzymali zasobniejszą gospodarkę, lub dobili się jej własną uczciwą pracą, a inni inną drogą doszli zamożności, bogactw nawet, na które z obawą i wstrętem patrzy niejeden poczciwy sąsiad i Bogu dziękuje, że go zły duch nie opętał zakazany groszem aby opędał ubóstwa z progów, gdzie praojcowie pracowali uczciwie. Otóż na takiej szlacheckiej zagrodzie miał małą częstkę po ojcu Tomasz Kożuchowski. W młodości dopomagał on rodzicom w gospodarce; zręczny Tomek zorał, zasiał, ugor podprawił, dojrzał dobytku, a niekiedy to i zręcznie worać się w sąsiednie pole potrafił, czego i właściciel nie dopatrzył. Umiał sprzedać najlepiej zboże na targu sąsiedniego miasteczka, oszukać na mierze nawet przebiegłego żydka; umiał w workach podłe ziarno przysypać celniejszym, a drobne kartofle wielkimi. A bezrozumny ojciec cieszył się przebiegłym synem, i chwalił przed sąsiadami.

Po śmierci starego odziedziczył częstkę młody Tomasz jako jedynak i począł gospodarować na swoją rękę. I tak, najprzód za pożyczane pieniądze puścił się na handlarki: skupywał stare i kaleki koni, podpaszał je, przyglądał i po jarmarkach oszukiwał niemi biedaków. Niejeden, co na konika pracował z ujmą zdrowia, odmawiał sobie wygod nieodzownych, oszukany przez niego, kilkadziesiąt złotych nabytych potem ciężkiego znoju rzucał w błoto, a Tomasz z uśmiechem zadowolenia chował grosz zakazany do kieszeni, bał się zaś używać dobra ziemskiego, połykał strawę kupioną krzywdą sąsiedzką, a co gorsza, śmiał dziatkom swoim składać z nich dostatki, które zwykle, jako niecnie nabyte, topnieją i giną w rękach spadkobierców, jak śnieg wiosennym słońcem dogrzewany. Od koni rzucił się Tomasz na inne tego rodzaju spekulacje i uzbierawszy sobie tego do dwudziestu tysięcy, począł prowadzić najniesprawiedliwsze procesy z sąsiadami. Niejeden biedak trapiiony pieniactwem, nie mając na nakład kosztów w sprawie, znekany, zbiedzony, ustępował łakomemu wydziercy ostatni zagon po dziadach odziedziczony, jedyny swój fundusz i sposób utrzymania, i szedł w świat o żebraniu; a Tomasz zapamiętały w złem, nie lękał się na ów zagon wydarty biedakowi

rzucić ziarno i zadławić chlebem z niego upieczonym. Tak pomału, pomału, jednych procesami powygnaniał ze wsi, innych oszukaństwem, lub podpoiwszy, nabywał części za liche pieniądze, że wkrótce całej prawie wsi stał się udziałnym panem. Jeden mu tylko sąsiedzi oku pozostał sąsiad, z którym mimo zabiegów nic poradzić nie mógł. Dom jego od domu Kożuchowskiego przedzielał sad śliwowy. Był to Kasper Kobylański; służył on poprzednio wojskowo i nareszcie po trudach wojennych wrócił na ubogą ojcowiznę i począł, ożeniwszy się, pracować na małej części, mieszkać w starym dworku, co jeszcze przodkowie jego kiedyś zajmowali, mogąc go tylko od czasu do czasu własną ręką podreperować. Chodził w siwej kapocie obyczajem podlaskiej szlachty, żona jego w czepek i przyściółce, a jeździł jednokonnym wózkiem. Córki i synowie przyuczone do pracy, umieli tyle, że się mogli pomodlić na księżce w kościółku, lub coś użytecznego przeczytać w dni świąteczne. Lubionym był pan Kasper od całej sąsiedniej okolicy i jak słowo wyrzekł, to weń święcie wierzone. Ludzka krzywda nie ciężyla na jego sumieniu, i raz, gdy mu jeden z sąsiadów, widząc jego niedostatek, doradzał jakiś niecny zarobek, który miał go wzbogacić, odpowiedział:

— Uchowaj mnie Boże! miły bracie, splugawić się dlatego, bym więcej i smaczniej zjadł, lub wygodniej się wyspał. Nie chcę ja z wami przestawać, mój sąsiadzie, bo widmo złe was opętało.

I Kaspra nic już do złego odradcy zbliżyć nie potrafiło.

A gdy znów raz pan Kożuchowski chciał jakąś sąsiedzka przysługę uczynić Kobylańskiemu, to ten rzekł posłańcowi:

— Powiedz twojemu panu, że usługi jego nie potrzebuję, bo zapracuję sobie, ufając w Bogu, którego przykazań nie gwałcę, a pomocą złego ducha brzydzę się.

Bał się go też Kożuchowski i mijał z daleka, bo mu tak nieraz ostrą prawdę bryznął w oczy.

A gdy ostatnią częstkę we wsi zabrał biednej wdowie z dziećmi, nieuczciwym sposobem, spotkawszy się z nim raz w polu Kobylański, rzekł:

— Słuchaj-no, wygnałeś już wszystkich ze wsi, wydartszy ich ubogie mienie, jam ci tylko pozostał; ale wara od mego dobra, bo ja z tobą procesów zwodziec nie myślę i szukać jak inni sprawiedliwości po świecie, ale ja sobie wprzód dam radę — targnij mi się tylko na moją chudobę, z której to żyć mają w przyszłości moje biedne dzieci...

Kożuchowski mu na te dobitne wyrazy nic nie odpowiedział, tylko stuliwszy ramiona, zmykał co prędzej miedzą do domu.

Nareszcie stawszy się panem wsi całej, Tomasz począł na lichwę pożyczać pieniądze, tak, że wkrótce dorobił się przeszło stu tysięcy gotówki. Ależ Boże zachowaj takich szatańskich zbiorów; lepiej całe życie po żebranie rękę wyciągać.

Nic już więcej Tomasz pragnąć nie mógł, bo miał kocze cugi, pokoje ładnie przybrane, i wszystkie wygody życia i zgraje przyjaciół, co się lubią bogactwu kłaniać. Lecz gdy mu przyszło spokojnie używać dobra ziemskiego, rozkoszy bogactw, jakieś go licho opętało; opanował go jakiś smutek, płakał, lamentował, dziwili się wszyscy, i nieraz pytali go sąsiedzi:

— Co wam, panie Kożuchowski? macie bogactwa, ptasiego brak tylko mleka, a smucicie się!!... wam śmiać się, a nie płakać!

— Co mi tam po tem, co mi po tem, — odpowiadał wtedy bogacz, smutnie spuszczać głowę na piersi.

Posłano nareszcie po doktora, przypisując stan Tomasza chorobie. Jeździł, jeden, drugi, trzeci, ale nic nie pomagało; bogacz jak smutny, tak smutny, choć lekarstwa łykał z chciwością w nadziei polepszenia zdrowia. Nareszcie poczęto lękać się o pomieszenie zmysłów, bo Tomasz ani na chwilę sam zostać nie mógł, jakieś mu się widma przesuwały przed oczami, niekiedy rozmawiał sam z sobą, to znów zdawało mu się, że ktoś staje za nim i woła: A co Tomku, nie lepiej było w siwej kapocie, z czystym jeszcze sumieniem, jak w pańskiej sajecie i chorem ciałem, poczerniała dusza? ha... ha... ha! i śmiało się tak straszliwie, że Kozuchowski niekiedy cały truchłał.

Zropaczony grzesznik, gdy nic nie pomagały lekarstwa, począł wydawać bale — cóż skuteczniejszego na smutek, myślał, radując się, jak nie zabawy? Ale na nic się i to nie przydało, bo gdy bywało zasiadzie z sąsiadami do uczy, to ów ktoś dalejże mu kłaść w ucho: Tomku używaj, jedz, pij do syta — a mają tam jeść i pić ci, coś to ich wygnał pod gołe niebo z torbą i kijem w rękę!

Na te straszne słowa dławiał się Kozuchowski przysmakami i tracił ochotę do zabawy, smutniał nagle. To znów gdy go tęsknota opanowywała, zwoływał z miasta muzykantów i kazał sobie grać; ale huczała muzyka, a ktoś za nim jeszcze głośniej krzyczał: Tomku, każ grać głośniej, byś nie usłyszał jęku pokrzywdzonych przez ciebie, bo oni tam płaczą i stękają, walając się na barłogu, coś im posłał niemiłosierną ręką.

Otóż na nic muzyka się nie zdała bogaczowi, bo żadna kapela nie zagłuszy obrażonego sumienia; zakrzyczy ono najhuczniejszą orkiestrę, któraby grzmiąca nad uchem pokrzywdziciela! Tak i w panu Tomaszu sumienie pierwej uspięne chciwością, gdy go dogrzewać poczęło ciepło kradzionego złota, pomaleńku budzić się z uspienia poczęło, piec w sercu jak rozpalone żelastwo, i krzyzcze na całe gardło o cudzą krzywdę.

Najlepsza dla smutnych i najskuteczniejsza ucieczka, jest modlitwa. Ale pan Kozuchowski nie bywał od dawna w kościele, nie spowiadał się, bo kto w krzywdzie brata szuka z bogacenia się, zaparł się od dawna Boga i modlitwy; nie wchodzi ów do kościoła, bo święte progi budzą w nim pamięć opiekuna uciśnionych, lęka się słyszeć tam głosu Chrystusa, któryby go zapytał:

— Gdzie jest ten a ten, ta a ta, których żeś pokrzywdził?

Pana Tomasza trwożyły nawet dzwony, a szczególnie śpiewy pogrzebowe, bo bał się śmierci jak wszyscy, co poza grobem nic dla siebie nie widzą tylko garść ziemi, garść robaków, drzwi nieba zamknięte, a piekło rozwarte. Wtedy drżał jak liść na drzewie, bo przed jego oczami otwierały się szerokie bramy wieczności z całą nieskończonością, gdzie ścisły rachunek czeka zbrodniarza, gdzie szala nieprzedajna sprawiedliwości waży ich czyny, myśli, uczynki, na której najczęściej przeważa westchnienie, pokrzywdzonego, ża wdowia, ucisk sierocy, gdzie nareszcie owa sprawiedliwość odróżnia uczynki prawdziwego miłosierdzia od spełnianych dla chluby i próżności światowej. Bał się zatem myśleć pan Tomasz o tej nieskończoności pogrzebowej, gdzie przyjdzie mu stanąć bez dobrego uczynku, bez pocziwej myśli, z czołem zbrudzonem, przynosząc z sobą garść prochów na świadectwo nikczemnie spędzonego żywota!

Żona pana Kozuchowskiego, dobra i pocziwa kobieta widząc, że doktorzy nie przynoszą ulgi mężowi, choć ich już kilkunastu było, poczęła go namawiać do spowiedzi i modlitwy. Pomiarkował już i pan Tomasz, że pomoc ziemską na nic mu się nie przyda, że trzeba po nią sięgnąć wyżej, tam, gdzie jej najpewniejsze źródło, najskuteczniejsza w troskach pociecha, w piekącym smutku nieomylna ochłoda. I odtąd nie mijał nigdzie odpustu, odbywał piechotą pielgrzymki do miejsc świętych, sypał hojną dłonią ubogim jałmużny, wystawił nawet we wsi swej ładną kapliczkę, gdzie się raz na tydzień odbywało nabożeństwo przez sąsiedniego wikarego. Ale cóż, kiedy owo ktoś, co zwykle stawało za panem Tomaszem, jak sam utrzymywał, szło wszędzie i jechało za nim, a gdy modlił się, bił w piersi, stawiał kaplicę, wołało za nim: Faryzeuszu, modlisz się, bijesz w piersi, a oczyściłeś te ręce z grabieży, któremi Panu nad Pany śmiesz składać ofiary i żegnać się świętokradzko?

Tak dręcząc się Tomasz, zachorował nareszcie ciężko. Doktorowie nie robili nadziei wyzdrowienia, bó sechł, nikał w oczach, opuszczały go siły; już z trudnością podnosił się z łóżka i za pomocą drugich przechodził niekiedy po pokoju. Potężna to siła sumienia oddała go na pastwę chorobie. Widząc Tomasz zbliżający się koniec, z przestrachem i biedząc z myślami, co poradzić, aby choć w spokojności oczy zamknąć, ni stąd ni zowąd, ale widno z dopuszczenia Boga, który ulitował się nad grzesznikiem, przychodzi mu na myśl Kasper Kobyłański, ów sąsiad i wróg pana Tomasza. Może on mi poda jaką radę, mówi sobie... ale czy przyjąć zechce?... Jednakże odważył się po niego, bo go doń coś coraz to więcej, jak magnesem ciągnęło. Trudno było odmówić prawie umierającemu, i Kobyłański na wezwanie zjawił się niebawem — wprowadzono go do pokoju chorego, którego Kasper nie poznał, bo szkielec tylko leżał na bogatym pościeliu.

— Siadaj, kochany sąsiedzie — rzekł chory do przychodnia; nie odmawiajcie mi pomocy, jak jej nie odmawiacie tym, co się po nią do was uciekają.

— A cóż to ja wam za pomoc dać mogę? — odrzekł Kasper, nasunawszy brew i kręcąc długie wąsy; panem jesteście, a ja człek ubogi, u was złoto na zawołanie, a u mnie dobre słowo tylko i nic więcej.

— Oj! to też do tego dobrego słowa łaknę, — mówił, bo ziemskie złoto na nic się przyda w godzinę śmierci; trzeba innych bogactw panie Kasprze, by z niemi stanąć przed Bogiem, a tu ich nie ma. Dorobiłem się wprawdzie majątku ziemskiego, pełno złota i dobre życie, ale to jakoś nic mnie nie cieszy.

— Boście o Bogu zapomnieli — wtracił z niechęcią Kobyłański.

— Jak to? — zawołał zdumiony chory, wszak ci się modliłem, sypałem jałmużny, a nawet i kaplicę na cześć Jego wystawiłem!

Uśmiechnął się Kasper i rzekł:

— Nie tak to się o Nim pamięta!

— A jakże? — zapytał grzesznik.

— Nie obrażając go niczem, — mówił Kobyłański, ostro spoglądając na chorego, nie gromadząc grosza cudzą krzywdą.

Na te słowa pocziwca Tomasz wstrząsł się na łóżku, a Kasper nie zważając na to, mówił dalej dobitnie:

— Czystych ust tylko Bóg przyjmuje modlitwy, nie skałanego krzywdą braterską serca miła mu spowiedź, uczciwych rąk przyjmuje z radością budowę kościo-

łowi ubogim rozdanej jałmużnej, ale nie tych, co posiadali łupieżstwem cudzego dobra; coś zrobił, toś rzucił w błoto.

Tomasz aż posiniał, porwał się na łóżku, siadł; pot zlał mu wybladłe czoło, począł się krztusić, i ujrzał wtedy jak w zwierciadle występki swoje, i jeden po drugim stawał przed nim pokrzywdzony sąsiad, aż nareszcie zapytał:

— Cóż począć?...

— Oddać co cudze jeżeli chcecie stanąć czystym przed Bogiem, a w godzinę śmierci i spokój znajdziecie i smutek ucieknie.

— A co dzieci moje poczną bez majątku; zagadnął grzesznik.

— A co dzieci twoje zrobią z majątkiem, krzywdą ludzką zdobytym, kiedy on jak ślina marna w jednej chwili przepada? — odpowiedział Kasper. Gdy im odejmiesz wydarte złoto, — mówił, to posiadają łaskę Bożą, a z tą wszędzie dorobią się bogactw, kiedy w nich tylko widzisz ich szczęście; śmielej ludziom w oczy patrzeć będą i jeść chleb, co ich ojciec od plewy oczyścił, nie zadławia się nim, bo niczyja łza nie zawilży czystego ziarna.

— Oj, sąsiedzie, wy łaskę Bożą już macie, bo wy taką prawdę mówicie, zawołał rozrzewniony Tomasz i zalał się pokutnymi łzami.

Biło poczciwemu Kasprowi w piersi serce z wielkiej radości, i gdy Tomasz płakał, on Bogu dziękował że go obrat za narzędzie nawrócenia grzesznika w godzinę śmierci.

— A jakże zrobić panie Kobylański? — zapytał chory.

— Jak? — oddać, co się komu należy.

— A ja z czem zostanę? — znów zagadnął Tomasz.

— Z czystym sumieniem, co jedynie szczęście ludzkie stanowi, i ważniejsze od złota w oczach Boskich.

Począł Tomasz myśleć i nareszcie rzekł po chwili:

— Oj prawda, panie Kasprze, że ciężko umierać, gdy człek nie ma zasobu na drogę wieczności, ależ jakże tu począć i jak zebrać tych, których się pokrzywdziło, jak spojrzeć im w oczy?

— Nie bójcie się o to — odpowiedział Kobylański, lepiej przed ludźmi się powstydzic i spuścić w dół oczy, jak nie śmieć stanąć przed Bogiem; ja wam w tem dopomogę i powiem, gdzie macie szukać pokrzywdzonych.

— Dobrze — odrzekł chory, zróbmy bracie rachunek, bo widno życia ucieka, a lżej będzie umierać, gdy duszę z błota ziemskiego oczyszczę.

Pocziwy Kasper począł wyliczać i notować Tomaszowi na papierze wszystkich, których pokrzywdził:

— Grzegorz Konopacki — mówił, zapisując nazwisko; wydarliście mu część niesłusznym procesem z trzy tysiące; chodzi on dziś po żebraniu i najczęściej siaduje pod kościołem w Sokołowie.

Michał Błoński; upoiwszy go, za liche pieniądze zabraliście jego fortunę, obecnie on w Węgrowie posługuje żydom.

Od wdowy i sierot po Michale Chylińskim podstępny sposobem wydarliście część, przekazując za nią lichą zapłatę. Warta ona była sześć tysięcy; sieroty te po śmierci matki, zmarłej ze zmartwienia, cudze kąty wycierają i źli ludziska okrutnie nęca się nad niemi.

— Panie Kasprze — zawołał Tomasz — poczekajcie, niech odpocznę, bo mi duszno, oj Boże, Boże — i Kezuchowski siadłszy na łóżku, zasłonił twarz rękoma i płakał serdecznie — po chwili zaczął Kasper:

— Tadeuszowi Przewózkiemu zabraliście częśćkę za dług, który wam był winien; pożyczkę tę gwałtem mu usunęliście, choć brać się wzdrygał, potem obliczywszy ją z lichwą, gdy na terminie uiścić jej nie mógł, zatradowaliście fortunę wartości czterech tysięcy, umarł on ze zmartwienia, a żona jego z dziećmi chodzi po żebraniu.

Grzegorz Zabawski, wielce uczciwy człowiek; procesem wydarliście mu majątek, wart cztery tysiące — rozpił się biedak ze zmartwienia i umarł pod ławą w karczmie.

Wdowie po Stanisławie Świniarskim zabraliście część niby za pieniądze pożyczane jej mężowi, a które to, jak mi wiadomo, nieboszczyk wam wypłacił, tylko nagłą śmiercią dotknięty, nie podołał odebrać od was rewersu, bo zbyt zaufał. Wygraliście sprawę w sądzie, bo ziemscy sędziowie przyznali wam wygraną podług prawa, ale niebieski sędzia po wyrok do siebie was w czasie powoła.

Jęknął biedny Tomasz, a Kasper dalej mówił:

— Biedna wdowa wygnana przez was z dziedzictwa, dziś umiera z głodu i choroby u żyda pod strychem, dzieci jej z nędzy puściły się na złe drogi.

Zwinał się Tomasz na te słowa na łóżku jak wąż w kłębek, ryczał prawie z bóleści, płakał; łamał ręce i wołał: Boże, Boże, Tyś cierpiał dotąd takiego zbrodniarza na świecie!

Pomału ochłonawszy ze wzruszenia grzesznik, zaczął sobie podać pióro i papier i powstawszy z łóżka, ubrał się jak mógł chwając się na nogach, i zasiadł w obecności Kobylańskiego do pisania testamentu. Nagrodził w nim wszystkich pokrzywdzonych, czyli to ich osobicie, czyli pozostałe po nich rodziny; za lichwę zaś i oszukaństwo kołmi i innymi sposobami, legował sumę ku wsparciu biednych wdów i sierot niemających przytułku. Spadkobiercom zaś po sobie zostawił tylko częśćkę, wartującą dziesięć tysięcy, a zawoławszy żonę i dzieci, oraz wyznawszy przed niemi winy swoje, przeczytał testament i na końcu rzekł:

— Dziękuję ci, pocziwy panie Kasprze, że z twej łaski mogę umrzeć spokojnie; o! lżej mi, lżej, — mówił Tomasz, i lzy bieły mu po wychudłych policzkach. Nagrodziłem wszystkich, mówił dalej, których w zaślepieniu chciwości pokrzywdziłem, ale jakże nagrodzę tych, których w przepaść występku wtrąciłem? Jak nagrodzę biednej wdowie, gdybym ją nawet złotem obsypał, za jej dzieci, co w ziemskim kale utonęły! Boże przebaczysz-li mi?...

— Przebaczy — odrzekł Kasper rozrzewniony do głębi. On ojciec miłosierdzia, żalującym przebacza wszystko!

— O żałuję, żałuję — wołał Tomasz, łkając, i z nadludzka siłą z krzesła, na którym siedział, rzucił się krzyżem przed wizerunkiem Zbawiciela wiszącym na ścianie, wołając:

— Nie wstanę, aż mi Panie przebaczysz!

Cichość zaległa stancję, leżał tak krzyżem pokutnik, i gdy wszyscy modlili się serdecznie za winy jego, przybył wezwany kapłan, przed którym Tomasz wyznał grzechy swoje, przyjął Komunię św. i potem Bogu ducha oddał.

Od śmierci Tomasza upłynęło lat kilka. Dzieci pana Tomasza dorobiły się z czasem majątku z owej małej częśćki, i są dziś panami; bo ziarno oczyszczone z plewy serdecznym żalem ich ojca, rzuciły w uprawną rolę ubogiej spuścizny, na której łza pokrzywdzonych nie tamowała bujnego plonu.